

Co kryje się za kulisami tzw. „ewakuacji” wojsk brytyjskich ze strefy Kanału Sueskiego, o której tak głośno trąbi ostatnio burżuazyjna prasa mocarstw zachodnich? Tylko na tle zaostrzenia się konfliktów między Stanami Zjednoczonymi, a Wielką Brytanią zrozumieć można ciuciubabkę polityczną, rozgrywaną się od pewnego czasu w Egipcie.

ŚWIAT

TYGODNIOWY DODATEK „GŁOSU”
Rok V numer 29 Niedziela, 8 VIII 1954

Egipskie zagadki

Kiedy słyszymy słowo Egipt — myślimy o piramidach, o sfinksie, o skarbach historycznych, jakie kryje w swym łonie ta ziemia, będąca kolebką jednej z najstarszych cywilizacji świata. Ale nie te skarby, nie zabytki pradawnej kultury budzą zainteresowanie kapitalistów. W oczach imperialistów Egipt to przede wszystkim Suez, ów klucz do wschodniej części basenu Morza Śródziemnego, do krajów Bliskiego i Środkowego Wschodu, gdzie znajdują się jedne z największych na świecie złóż surowca politycznego — ropy naftowej.

Początek ciuciubabki
Przypomnijmy pokrótce wydarzenia. W lipcu 1952 r. pucz grupy oficerów, skupionych w tzw. „radzie rewolucyjnej”, spowodował detronizację Farkha i usunięcie od władzy liberalno-burżuazyjnej partii wafdystów, w której Anglii mieli swoje oparcie. Za plecami organizatorów ruchów stali Amerykanie. Spodziewali się, że droga wysadzić z siedziby Anglików a równocześnie wciągnąć Egipt do antyradzieckiego układu wojennego.

Z tej kombinacji niewiele wyszło. Licząc się z nastrojami ludności, nowy prezydent republiki, a zarazem szef rządu, gen. Naghib oparł się próbom wciągnięcia Egiptu do „wspólnoty obronnej” Środkowego Wschodu pod amerykańskim protektorem. Nie dostrzegając też żadnych korzyści w zastąpieniu angielskich okupantów strefy Kanału Sueskiego okupantami amerykańskimi. W związku z tym Amerykanie — jak się zdaje — postanowili usunąć w cień Naghiba i oprzeć się na jego konkurencie do władzy w łonie junty wojskowej, ppłk. Gamal Nasserze.

Tak więc w dniu 25 lutego br. świat obiegła wiadomość o usunięciu Naghiby ze wszystkich zajmowanych stanowisk i nawet aresztowaniu, pod pretekstem, że dąży do absolutnej dyktatury osobistej. Ale już w dwa dni później, 27 lutego, ogłoszono, że Naghib... obejmuje z powrotem stanowisko prezydenta republiki, a Nasser będzie tylko premierem rządu. Wreszcie 9 marca Naghib powrócił również na stanowisko premiera, przy czym Nasser w komunikacie radiowym uzasadnił tę nową decyzję niezdobytą przekonywającą ekwilibrystyką: „Chcemy dowieść światu, że wiemy czego chcemy”.

W toku tych przemian, za kulisami których doszukiwać się trzeba ukrytych sprzeczności imperializmów, Amerykanie nie posunęli się w swych planach ani kroku naprzód.

„Nie oznacza likwidacji...”

Jak doszło do zawartego ostatnio, anglo-egipskiego układu w sprawie Kanału Sueskiego?

Bejrucki dziennik „Telegraph” pisze, że zawarty układ „nie odpowiada interesom egipskim i nie zasługuje na aprobatę, ponieważ Kanał Sueski wraz ze wszystkimi bazami i obiektami wojskowymi pozostaje — w myśl zawartego porozumienia — pod kontrolą Anglików”.

Potwierdzają to wypowiedzi brytyjskich ministrów Edeana i Heada. „Porozumienie anglo-egipskie — powiedział minister spraw wojskowych, Head — nie oznacza bynajmniej likwidacji brytyjskiej bazy wojskowej w rejonie Kanału Sueskiego”.

O cóż więc chodziło? Oto lapidarne ujęcie istoty zagadnienia przez pismo angielskiej partii komunistycznej, „Daily Worker”: „Amerykanie mają poważne interesy zaangażowane w bogactwach naftowych Bliskiego Wschodu. Dążą oni do tego, aby stać się na tym obszarze dominującym mocarstwem imperialistycznym. Pragną oni, by półkolonialne kraje tego regionu, nie tylko popierały ich militarną strategię, lecz także by popierały ich gospodarczą strategię, skierowaną przeciwko imperialistom brytyjskim”.

Ostatnie słowo ma — LUD

W Egipcie od lat następuje po sobie rządy, które obiecują wyzwolenie kraju i ziemi dla chłopów. Ale mimo szumnych zapowiedzi zarówno Naghiby jak i Nasser, 94 proc. chłopów posiada na rodzinę pół hektara ziemi lub mniej, podczas gdy 51 rodzin krajowych i zagranicznych feudałów, skupiło w swych re-

kach 300 tys. hektarów. Jak dotąd rządy Naghiby i Nasser mają do zaoferowania fellahom egipskim tylko brązowe koszule i brązowe krawaty, analogiczne do hitlerowskiej SA.

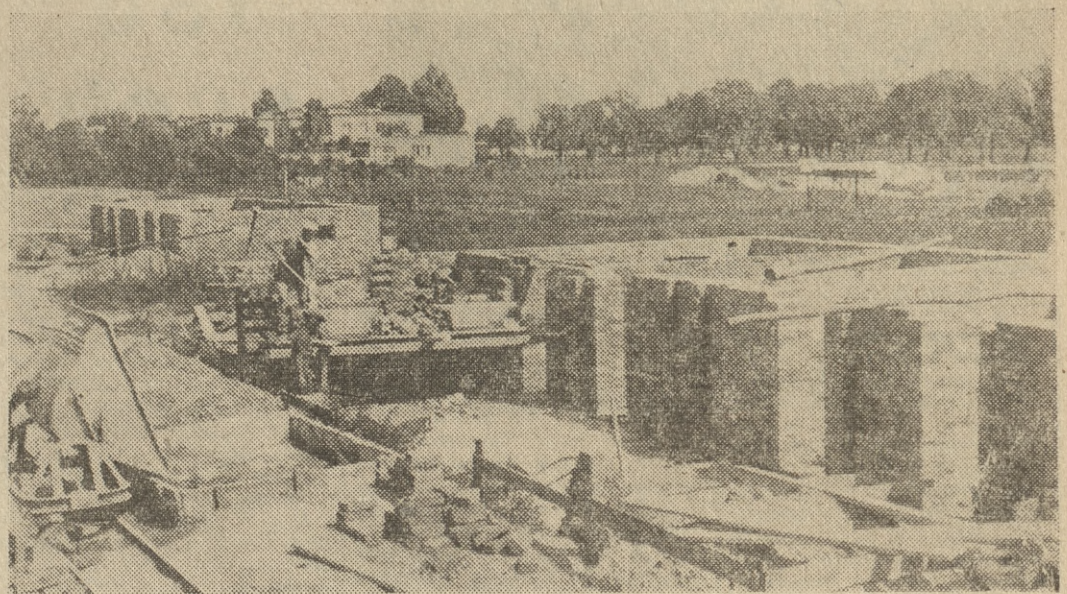
Kwestia socjalna i narodowa pozostają nierozwiązane i póki to nie nastąpi, rządy będą się zmieniać i upadać. Mimo nieustannych represji z ich strony, Komunistyczna Partia Egiptu walczy zacieście o skupienie narodu pod sztandarem prawdziwego wyzwolenia narodowego i społecznego.

Ostatnie słowo — jak zawsze — należy do narodu egipskiego.

„Zmusił on — pisze „Daily Worker” — imperialistów brytyjskich do pewnych ustępstw, a obecnie powinien wzmoć swą walkę, aby zapewnić utworzenie prawdziwie demokratycznego i antyimperialistycznego rządu w Egipcie. Jedyną drogą Egipt może uniknąć zwykłej zmiany panów i stać się prawdziwie niezależnym krajem.”

I. B.

Budujemy nowy dom



Fot. K. Przychodźki

— budujemy własny dom...

Sierpniowe słońce piecze jakby chciało nadrobić lipcowe zaległości. — Uf! Gorąco. Kaczmarek wyprostował się, otarł wierzchem dłoni pot z czoła i spojrzał na wąską linię ułożonej właśnie kolejki. Potem rozejrzał się dokoła i wreszcie wzrok jego zatrzymał się na czerwonej cegle murów, wyrastających dopiero z ziemi.

— Mój dom! — powiedział do siebie. Józef Kaczmarek buduje sobie dom, taki niewielki domek z kawałkiem ogródka. Ten domek, który stał się spełnieniem jego wieloletnich marzeń, wypełnia mu wszystkie myśli i wszystkie dni. Dla niego spędza tu na placu bu-

dowy całe dni swego urlopu, pracując od rana do wieczora, połykając szybko przyniesiony przez córkę obiad. Mała Janinka ma codziennie nie mały kłopot z tym obiadem. Wiele razy musi przypominać ojcu, by wreszcie przerwał robotę i zabrał się do jedzenia.

— Zaraz, dziecko, zaraz — przyrzeka Kaczmarek i kładzie ze swą brygadą coraz dalsze metry kolejki, wozi lorkami gruz na tzw. bankiety, na których później brygada murarska stawia mury coraz to nowych domków.

To Spółdzielnia Mieszkaniowo-Budowlana „Budowlani” buduje w Poznaniu dla swoich członków, w większej części pracowników Zjednoczenia Budownictwa Miejskiego nr 1, kolonię domków jednorodzinnych. Kolonia powstaje na Osiedlu Grunwaldzkim przy ul. Kasztelańskiej.

Pracownicy Zjednoczenia, przeważnie murarze, zawiazali spółdzielnię budowlaną na warunkach 30-procentowego wkładu pieniężnego i pracy. Zgłosiło się wielu chętnych. Ba, własny domek z ogródkiem, toż to przecie marzenie niemal każdego człowieka. Wszystkich chętnych oczywiście nie można było przyjąć, pierwszeństwo mieli przodownicy pracy, racjonalizatorzy. Wśród 107 szczególnie zasłużonych znalazł się i Józef Kaczmarek, ślusarz, wielokrotny racjonalizator, zatrudniony w Bazie Sprzętu Zjednoczenia nr 1, ojciec sześciorga małych obywateli Polski Ludowej.

Jednym z warunków udziału jest wkład pracy. Wszyscy członkowie pracują na placu budowy zespołowo, wnosząc po kolei dom za domem według ustalonego planu. Kaczmarek więc ze swą brygadą wykonuje prace przygotowawcze dla murarzy, po których przyjdą znów inne brygady. Z chwilą spłacenia ratami w ciągu 10—15 lat pozostałych 70 procent wartości, domy staną się — wbrew absurdalnemu plotkom rozsiewanym z niewiadomego, a raczej z wiadomego źródła — najnormalniejszą własnością spółdzielców i ich potomków.

Własny, upragniony dom! Niełatwa była droga do niego. Niejeden wyrzekł się pewnych przyjemności, niejeden odmawiał sobie rzeczy może nawet potrzebnych, ale rezygnował tym łatwiej, że tylko na krótki czas.

Józef Kaczmarek bez większych wysiłków zaoszczędził sobie na domek. Kaczmarek zgłosił już 16 usprawnień, które przyniosą poważne oszczędności zakładowi, a jemu — procent w formie premii. Od ziarnka do ziarnka i na oszczędnościowej książeczce Kaczmarek zebrała się pokaźna suma.

Nie, nie można nic zarzucić „Budowlanom”. Niektóre zespoły wykonują rekordowe normy — 280 proc. Widać to wyraźnie po rosnących doświadczeniach. Jak grzyby po deszczu murach i coraz nowych stosach zwożonych materiałów. Wprawdzie z materiałem nie jest łatwo, ale spółdzielcy dokonują niemal cudów. Nie gardzą żadnym surowcem. Kupują cegłę odpadkową, wybrukowaną, róż-

nych gatunków i rozmiarów, wyprostowują dźwigary wydobyte ze złomu, używają wapno pokarbidowe i budują, budują!

— Zniosę, wiesz, ścianę między pokojami, na parterze i zyskam na przestrzeni — oświadczył parkieciarz Grzegorz Chwirot.

— Ja chcę mieć balkon, będę musiał postawić kolumnę przy wejściu — dodał inż. Kosiba, który wraz z innymi pracuje na budowie.

— A ja muszę dorobić od tyłu drzwi do piwnicy.

— Ja bym chciał, wiesz, hodować nutrie... — dodał inny.

— Człowieku, przecież do tego potrzebny jest basen! — zmitygowała go żona.

— No, to się zrobi basen...

— Basen! Żeby mi się dziecko utopiło! — przecięła plan ostrożna matka.

Użycie materiałów zastępczych oraz zastosowanie na budowie systemu gospodarczego, pozwala poczynić duże oszczędności, które obniżają przewidziany początkowo koszt budowy domków. Domki te zresztą są różne. Od 2½ do 4 pokoi, z powierzchnią wahającą się od około 64 do 79 m², z piwnicami, pralniąmi, łazienkami, instalacją elektryczną i gazową. Nic więc dziwnego, że spieszą się spółdzielcy z budową. Wielu z nich bowiem mieszka w ciasnocie. Ośmioosobowa rodzina Józefa Kaczmarka posiada dotychczas zaledwie 1½ pokojowe pomieszczenie. A właśnie jego domek ma być wykończony jako pierwszy. Całe zaś osiedle będzie oddane do użytku najpóźniej do końca przyszłego roku.

Spółdzielnia „Budowlani” nie jest pierwszą tego rodzaju w Poznaniu, ale pierwszą, która swój plan konsekwentnie realizuje pomimo trudności. Chcieć — to móc. Energetyczni członkowie zarządu umieli zabrać się do dzieła od pierwszej niemal chwili. Najtrudniej było z uzyskaniem terenów pod budowę i zdobyciem funduszy. Tereny przydzieliły władze miejskie. Prezydium MRN i WRN, odnoszące się początkowo sceptycznie — na skutek niezbyt szczęśliwych doświadczeń z innymi podobnymi spółdzielcami — przyszyły z najdalej idącą pomocą. Spółdzielnia otrzymała doskonale położony, uzbrojony teren, pomoc techniczną przez szybkie opracowanie planu pod względem urbanistycznym i geodezyjnym oraz pomoc w materiale.

A drugą trudność — uzyskanie kredytów — rozwiązało państwo, wydając uchwałę dotyczącą budownictwa takich właśnie osiedli domków jednorodzinnych. Kredyty spółdzielcze w sumie kilkaset tysięcy złotych i wkłady gotówkowe członków — pozwoliły przystąpić do realizacji planów budowy.

Tak oto nierealne, wydawałoby się, marzenie człowieka pracy, o własnym dachu nad głową i własnym ogródku, mimo wielu trudności staje się dla robotników poznańskich rzeczywistością dnia codziennego.

IZABELA ROŻKOWA

Na Wystawie Wynalazczości

Ruch racjonalizatorski, to siła napędowa postępu technicznego w naszym przemyśle, która gwarantuje stały wzrost tempa budownictwa socjalistycznego w Polsce. Imponująca Wystawa Wynalazczości i Postępu, której otwarcie nastąpi dzisiaj niedzieli we Wrocławiu, obrazuje olbrzymi dorobek polskiego robotnika, inżyniera i naukowca na drodze wynalazczości technicznej.

Na uwagę zasługuje oprawa piaskowa wystawy. W alei głównej ustawiona jest 3-metrowa rzeźba z gipsu, przedstawiająca współpracę inżyniera z robotnikiem. Po obu stronach na betonowych podstawach umieszczono pianse i zdjęcia najlepszych i najwybitniejszych racjonalizatorów. Po bokach rozciągają się trawniki z kwiatami. Estetyczne, o ciekawej architektonice pawilony, rozrzucone są na przestrzeni 20 ha.

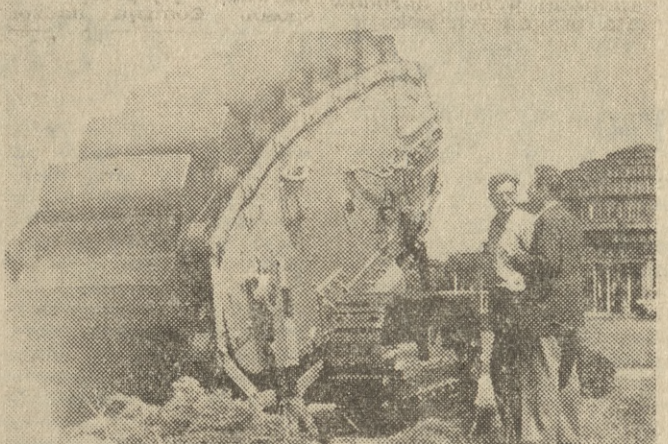
Często, ze względów technicznych eksponaty musiano zastępować przez przejrzyste fotomontaże, jak np.: w pawilonie przemysłu chemicznego — produkcję termofosforu. Przemysł hutniczy ustawił huty w miniaturach. Ciekawe jest to, że wszystkie niemal modele będą w ruchu.

Imponująco wyglądają maszyny przemysłu górniczego. W rzędach, na betonowym fundamencie, obsypane dookoła węglem, ustawione są: ładowarka zgarniakowa, węgłarki węglowe, ładowarka zasieradzona do kamienia itd. Obok ustawiono szereg maszyn naftowych. Stoi tu nawet imponująca wieża wiertnicza — stanowiąca novum w tym przemyśle.

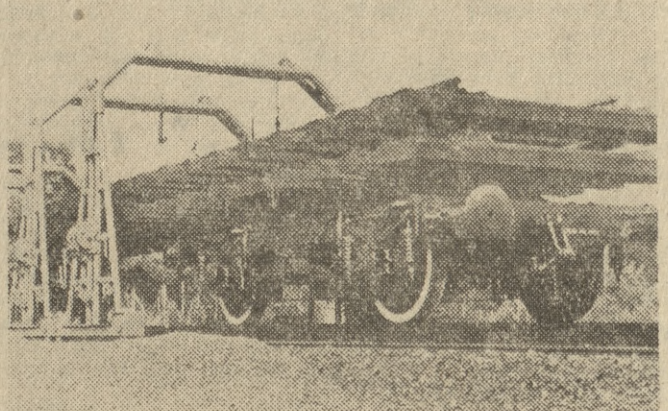
Pawilony Żeglugi przyciągają ślicznymi miniaturami jednostek morskich, basenem dla nurka, sieciami do połowów morskich, modelem do odmulania wraków itp.

Wystawa obrazuje olbrzymie osiągnięcia różnych gałęzi przemysłu w Polsce, powstałe na drodze wynalazczości robotnika, inżyniera i naukowca polskiego. W miarę, jak oglądamy Wystawę, rośnie nasza dumna. Ruch racjonalizatorski — to imponujący postęp techniczny, to — wzrost tempa budownictwa socjalizmu w Polsce.

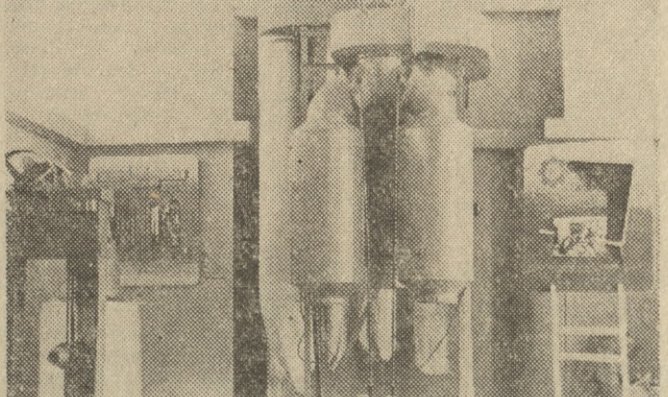
J. ŻELEZIK



Trymer mechaniczny do wyladowywania rudy żelaznej ze statków. Konstruktor i wykonawca: ślusarz Michał Przybylski z Zarządu Portów Gdynskich — Warszawa Nadbrzeże Duńskie (na zdjęciu drugi od prawej).

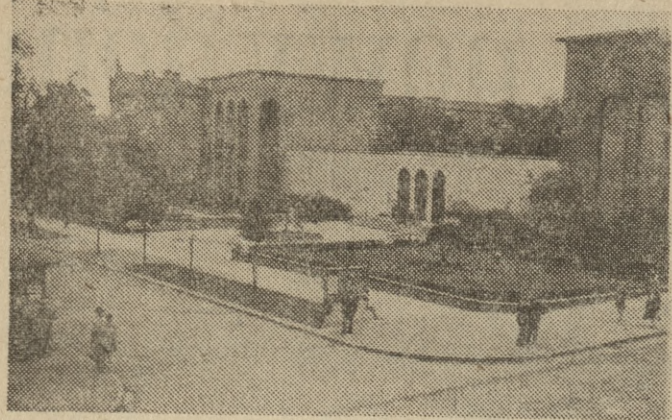


Wagony do mechanicznego układania torów kolejowych



Trzepaczka pneumatyczna do worków — wynaleziona przez inż. Worocha i techn. Rana (fragment wnętrza pawilonu Ministerstwa Skupu).

Foto: M. Dołęga — Wrocław



Upowszechnienie sztuki teatralnej, podniesienie jej poziomu artystycznego i nasycenie nową, socjalistyczną treścią — oto zadania, jakie postawił przed teatrem w Polsce II Zjazd. Zobaczmyż pokrótce o ile i w jakich warunkach Teatr Gnieźnieński realizował i realizuje te postulaty. Spróbujmy omówić z grubsza rok bieżący.

Podobnie, jak w roku 1952, kiedy to Teatr Gnieźnieński otrzymał od Zarządu Głównego Związku Zawodowego Pracowników Kultury, dyplom uznania, jak i w roku 1953, kiedy to wbrew wszelkim, niespodziewanym trudnościom plan został wykonany, tak i teraz pierwsze półrocze bieżącego roku przyniosło 110 proc. planowanej ilości przedstawień i 104 proc. ilości widzów.

Państwowy Teatr Gnieźnieński stara się docierać z przedstawieniami — przeciętnie raz na 6 tygodni, nie tylko do miast powiatowych, ale i do miasteczek i wsi. Tutaj jednak wyłaniają się przeróżne trudności. Minimum powierzchni sceny, jaka jest konieczna dla zapewnienia przedstawieniu właściwej oprawy dekoracyjnej i wygodnej swobody ruchów aktorom, wynosi 7x3x3,5 m. Aktorom potrzebne jest jakieś pomieszczenie, mogące służyć za garderobę. Elektryk teatralny dopomina się o niezbędne 4.400 wat i nieuszkodzoną instalację. Tego wszystkiego, niestety, mało, często zaniedbane są także, czy małopomysłowe za pewnić jeszcze nie mogą.

Wydaje się co prawda, że w wielu wypadkach trudności te mogłyby być przezwyciężone, gdyby władze terenowe i samo społeczeństwo więcej o te sprawy dbały. Często się zdarza, że jedynym miejscem możliwym technicznie do grania jest sala kinowa. Niestety i z nią są trudności. A to ekranu przesuwającego nie ma, a to garderobę nie ma, a to znów brak osobnego wyjścia z sali na podwórze (aktoriści ostatecznie też ludzie żyjący). Niewielka adaptacja, nie raz po prostu wmontowanie tylnych drzwi, rozwiązałoby zagadnienie całkowicie. Kiedy się jednak o tym mówi z kierownikiem kina, ot np. w Słupcy, ten bezradnie rozkłada ręce: „Określowy Zarząd Kin nie zgadza się, bo to jest kino”. No dobrze, ale skoro w jakiejś miejscowości tylko kino dysponuje salą widowiskową, a publiczność chce i powinna te widowiska oglądać, więc chyba ktoś powinien o to zadbać.

Obok tych kłopotów bezpośrednie związany ze sceną są jeszcze i inne. Oto np. na miejscu nie ma noclegów i kilkunastoosobowy zespół artystyczny i techniczny tłucze się po nocach dychawicznym autobusem nieraz 70 km do następnej miejscowości, gdzie jest hotel. Ale tu „tragedia”: po 5-6 godzinach snu trzeba hotel opuścić o 8 rano, by jechać dalej i grać o 20 w następnej miejscowości (w wielu hotelach ani słyszeć nie chcą o przedłużeniu pobytu na 2-3 godziny, nawet za dodatkową opłatą. Na jesień lub w zimie trudności automatycznie się uwielokrotniają.

Mimo przeszkód, zespół gnieźnieńskiego teatru nie gubi entuzjazmu pracy, nie traci humoru, a przede wszystkim z powodzeniem wykonuje plany usługowe i dostarcza widzom 6 województw godziwej, wychowującej rozrywkę. O tym, jak publiczność terenowa przyjmuje przedstawienia i co sądzi o działalności gnieźnieńskiego teatru, najlepiej mogą powiedzieć liczne listy, jakie wpływają pod jego adresem.

Na ogłoszoną swego czasu przez Teatr ankietę wpłynęło blisko 150 odpowiedzi z wszystkich niemal miejscowości Wielkopolski i województw sąsiednich. W wypowiedziach tych spotkać się można z wyrazami uznania i pozdrowie-

niami dla zespołu, uwagami krytycznymi, a także z propozycjami repertuarowymi.

Ale nie tylko z listów dowiaduje się teatr co o nim myśli publiczność. Zarówno w siedzibie jak i w terenie organizowane są spotkania z publicznością. W ciągu 6 miesięcy bieżącego roku odbyło się 10 takich spotkań z młodzieżą szkolną, z załogami zakładów pracy itp. Coraz częściej zdarza się, że za kulis przychodzi członkowie amatorskich zespołów dramatycznych. Chcą zobaczyć z bliska dekoracje, kostiumy, przybory charakterystyczne, no... i samych aktorów.

Pewną rolę w zbliżeniu widza do teatru i problematyki granej sztuki spełniają także prelekcje, wygłaszane w terenie przed każdym spektaklem, oraz programy teatralne, znajdujące coraz więcej nabywców.

A jak wygląda zasadnicza działalność teatru, to jest dawanie pełnowartościowych spektakli sztuk słusznych ideowo i artystycznie. Planowanie repertuarowe napotyka w warunkach gnieźnieńskiego teatru na szczególne trudności ze względu na szczupłość zespołu. Grać i przygotowywać sztuki trzeba jednocześnie w trzech grupach. Jak tu podzielić 26-osobowy zespół? Sztuk o pełnej wartości i przydatności, a składającej się z 7-8 osób, ostatecznie nie ma tak dużo. Od kilku lat sięga po nie teatr gnieźnieński, sięgają także: objazdowy teatr poznański, teatr kaliski, bydgoski i zielonogórski, obsługujący ten sam teren. Sprawa trudna. A przecież teatr musi zachować jakąś swoją własną linię repertuarową, powinien dążyć do zaznajamiania szerokiej rzeszy odbiorców z coraz wartościowszymi i różnymi pozycjami dramaturgii polskiej i obcej.

Przypomnijmy sobie tegoroczne premiery. A więc pierwsza to „Świętoszek” Moliere’a, znów po 3-letniej przerwie wprowadzona na scenę gnieźnieńską. Pozytywna niewątpliwie ambicja, celna w swej wymowie społecznej, doczekała się 145 przedstawień. Drugą z kolei premierą były „Takie czasy” Jurandota. Jedyną konieczność rozpoczęcia prób innej sztuki spowodowała ich przedwczesne zejście z afisza. Następną pozycją to „Trafił swój na swego” Aleksandra Ostrowskiego, po raz pierwszy wprowadzonego do gnieźnieńskiego repertuaru. Sztuka o dużym ładunku ostrego, demaskatorskiego spojrzenia na świat kapitalistyczny, rządzący się moralnością pieniędzą, cieszy się w terenie znacznym powodzeniem i grana będzie aż do pierwszych dni września. Ostatnia w I półroczu premiery to zawsze uroczyste „Śluby panielskie” Fredry. Zarówno „Śluby” jak i „Świętoszek” to właśnie pozycje, których między innymi domagała się publiczność terenowa.

Tak więc w pierwszym półroczu bież. roku Państwowy Teatr w Gnieźnie wystawił ogółem 5 sztuk łącznie z komedią Zapolskiej „Ich czworo” („dogrywana” z repertuaru zeszłorocznego) — w tym dwie autorów obcych, dwie autorów polskich dawnych i jedna polskiego autora współczesnego.

Jeżeli zaś chodzi o realizację sceniczną, to jedną z głównych cech teatru gnieźnieńskiego, podkreślaną przez recenzentów i widzów, jest zespołowość gry i utrzymywanie należytego poziomu przedstawienia, bez względu na to, czy gra się w dużym mieście, małym czy na wsi. Oczywiście nie są to osiągnięcia przypadkowe. Wysiłek kierownictwa artystycznego i aktywność politycznego teatru idzie w tym kierunku, aby tę właśnie cechę ugruntowywać i udoskonalać. Poważną rolę spełniają tutaj tzw. dyskusje kontrolne po przedstawieniu, jakie od jesieni 1952 roku wprowadzono na wzór Teatru im. Mossowietu.

TEATR 130 scen

Zespół, mimo forsownych objazdów, znajduje też czas na szkolenie ideologiczne.

Trudnym problemem dla teatru jest pozyskanie do współpracy reżyserów i scenografów, zdobycie nowych aktorów... i mieszkań dla nich. Rzadko przyjeżdżają recenzenci. Prowadzona do niedawna wymiana teatralna z Poznaniem, Kaliszem i Bydgoszczą została przez Centralny Zarząd Teatrów, Oper i Filharmonii niestety wstrzymana i zespół, nawet w tak skromnym zakresie, nie ma możliwości porównywania swoich i cudzych osiągnięć i braków.

Pod koniec bieżącego roku Państwowy Teatr Gnieźnieński obchodzić będzie 5-lecie swego istnienia. Z tej okazji trzeba będzie dokonać szczegółowszego niż to omówienia jego działalności. Na pewno jest o czym pisać, jest co krytykować i postulować. 5 lat krzewienia kultury teatralnej na 130 scenach 6 województw — to temat sam w sobie.

ZDZISŁAW GIŻEJEWSKI



Fragment pięknego gmachu nowej Szkoły Inżynierskiej w Poznaniu, której budowa ukończona będzie w niedługim czasie.

W STOLICY ODRUCHÓW

Jesteśmy w uroczym zakątku wiejskim pod Leningradem. Na wysokim brzegu jeziora, w gaju brzoźowym, wznosi się duży, biały budynek. Na jego fasadzie widnieje napis: „Genetyka doświadczalna wyższej działalności nerwowej”. Tu spędzał wielki uczonej długie godziny wyjątkowej pracy. Sale laboratoryjne stacji biologicznej były milczącymi świadkami jego badań nad pochodzeniem wyższych czynności nerwowych, legły one u podstaw teorii naukowej, która zrewolucjonizowała wszystkie nasze pojęcia o czynnościach układu nerwowego zwierząt i ludzi.

Wielki Koltusze, w której mieści się stacja doświadczalna, nosi obecnie nazwę „Pawłowa”. Prócz tego ma ona i inną, nieoficjalną nazwę — „stolica odruchów warunkowych”. Badając te odruchy, Pawłow przeprowadził ogromną ilość doświadczeń. Wykazały one, że zachowanie się zwierzęcia we wszystkich okolicznościach jego życia uwarunkowane jest całym kompleksem odruchów. Są to odruchy dwojakiego rodzaju — wrodzone odruchy bezwarunkowe oraz odruchy warunkowe, nabyte przez zwierzę wskutek bodźców zewnętrznych.

Jaki jest związek między tymi dwoma rodzajami odruchów? Otóż Pawłow dowiódł metodą doświadczalną, że nabyte odruchy warunkowe dzielone są przez następne pokolenia zwierząt i stopniowo przechodzą w odruchy bezwarunkowe. Tym samym obalili twierdzenia reakcyjnych biologów o niemożliwości rozwoju gatunków, o rzekomej „substancji dziedzicznej” — niezmienniej, niezależnej od wszystkich pozostałych komórek ciała, zawartej w komórkach zarodkowych.

„Oszukane” kury

Fakt, że warunki środowiska zewnętrznego mogą wpływać na dziedziczność otwiera olbrzymie perspektywy przed hodowcami zwierząt i roślin. Szereg epizodów filmu przekonuje nas naocznie o korzy-

Profesor B. Orgelbrand
rektor Szkoły Inżynierskiej w Poznaniu

Coraz lepsze są wyniki nauczania technicznego

Istniejąca przed wojną uczelnia techniczna w Poznaniu kształciła bez wątpienia wysokokwalifikowanych specjalistów w dziedzinie budowy maszyn i elektrotechniki, ale była nastawiona wyłącznie na nauczanie, a nie posiadała tych cech, które są nieodłącznymi dla prawdziwej wyższej uczelni, tj. nastawienia na pracę naukową.

Z początkiem 1945/46 r. szk., po zakończeniu działań wojennych została zorganizowana Szkoła Inżynierska z rozszerzeniem specjalizacji przez utworzenie dodatkowo Wydziału Budownictwa, w skład którego był włączony Oddział Architektury, obecnie zlikwidowany. Cennym uzupełnieniem „Szkoły Inżynierskiej” jest oddzielna „Wieczorna Szkoła Inżynierska” dla pracujących z nauczaniem w godzinach popołudniowych.

Nowy okres wyższego szkolnictwa technicznego charakteryzują zmiany wynikające z demokratyzacji wyższych uczelni. Nauka staje się dostępną dla szerokiej warstwy społeczeństwa i liczebność uczelni rośnie kilkakrotnie. W ogólnopolskim przekroju liczba studentów szkół technicznych, przypadająca na 10.000

W okresie międzywojennym potrzeby kształcenia technicznego były dalekie od zaspokojenia. Zorganizowana po wojnie Szkoła Inżynierska w Poznaniu zapoczątkowała nowy okres wyższego szkolnictwa technicznego na terenie Wielkopolski. Okres ten charakteryzują istotne zmiany, wynikające z demokratyzacji uczelni.

mieszkańców Polski z 2,2 w okresie przedwojennym, obecnie wzrosła do 19,1. Zmienił się również skład społeczny młodzieży akademickiej: odsetek synów robotników i chłopów wynosi dziś w S. I. ponad 60 proc.

Na uwagę zasługuje znaczny odsetek kobiet studiujących.

Wśród różnych zmian powojennego okresu działalności uczelni „zasługuje” na specjalną uwagę zmiana stosunku personelu nauczającego i studentów do swych obowiązków.

W początkowych latach powojennych, tradycyjnie traktowano wyniki nauczania jako sprawę osobistą. Z przepisów nominalnej dyscypliny nie wyciągano konsekwencji w stosunku do zaniedbujących naukę, a profesura nie wnikała w istotę przyczyn powstawania ogona tzw. „wiszących studentów”, którzy przedłużali swe studia ponad potrzebę, a w końcu częściowo rezygnowali z nauki, przechodząc do pracy w zawodzie. I oto z inicjatywy władz szkolnych poddano analizie ten stan rzeczy. Systematyczna nauka studenta uznana została za obowiązek, a personel naukowy zobowiązano do czuwania nad postępami studiujących — zresztą przy współudziale organizacji młodzieżowych. Od tego czasu wyniki nauczania znacznie się poprawiły, jak wykazuje

statystyka. Ostatnio sprawność szkolenia technicznego wzrosła do 70 proc. Znaczy to, iż na stu wступujących do uczelni studentów, 70 kończy studia bez powtarzania jakiegokolwiek roku. (Przedwojenna sprawność dla studiów technicznych wynosiła zaledwie 1 procent!). Osiągnięcie tak pomyślnych wyników jest dziś możliwe dzięki zapewnieniu młodzieży pomocy naukowych — pod postacią licznych skryptów i podręczników wydawanych w skali ogólnopństwowej, oraz pomocy materialnej — pod postacią stypendiów, które otrzymuje co najmniej 1/4 młodzieży, i pomieszczeń w Domach Studenta (1/2 liczby studentów).

Drugim charakterystycznym objawem w powojennej działalności uczelni jest wkroczenie na drogę planowej pracy naukowej dla potrzeb praktyki. Stało się to możliwe dzięki stworzeniu przez władze szkolnictwa wyższego, pomyślnego klimatu dla tego rodzaju działalności. Przystąpienie wszystkich pracowników naukowych, samodzielnych i pomocniczych, do tak pojętych studiów badawczych — jest tylko kwestią czasu. Jednak już o dotychczasowych osiągnięciach można obojętnie powiedzieć, iż posiadają ściśle powiązanie z życiem praktycznym.

Niezależnie od planowej pracy naukowej, uczelnia sięży pomocą przemysłowi w do-raznych trudnościach technicznych, a racjonalizatorom, nowatorom i wynalazcom — swoją „Poradnią Techniczną”.

na amerykańską
\$ NOTE

SZYLETY

Do zakładów metalurgicznych w Solingen (Niemcy zach.) wpłynęło z USA bardzo „oryginalne” zamówienie. Chodzi o dostawę kilku tysięcy szyletów dla Ameryki z napisem „Wszystko dla Niemiec”. Szylety mają być wykonane ściśle według tych, jakie nosili członkowie SA.

Wprawdzie ustawa aliancka przewiduje zakaz produkcji szyletów, jeśli są one „przeznaczone do noszenia”, ale w zamó-

wieniu z USA powiedziano, że szylety będą sprzedawane jako przedmioty pamiątkowe (!)

„Przedmioty pamiątkowe” po zbrodniarzach z SA cieszą się widocznym uznaniem i popytem w USA.

NIE - LOJALNI

Dwutygodnik „REPORTER” z 6 lipca 1954 r. zamieścił artykuł V. Boesena pt. „Dlaczego zerwaliśmy ze szkolnictwem”. Są to wypowiedzi pewnej nauczycielki o stosunkach w szkolnictwie, które masowo opuszczają pedagodzy i to nie tyle z powodu zbyt niskich uposażeń, lecz z obawy przed metodami Komisji Badań Lojalności. Według komisji, niewłaściwe postępowanie nauczyciela kwalifikuje go do natychmiastowego wydalenia z pracy.

A na czym polega to „niewłaściwe postępowanie”? Jeden z nauczycieli tak je określił:

„Boję się skarcie ucznia, aby nie doniesiono o mnie, że jestem wyrowotem. Dopatruję się szpiegów w klasie, świetlicy, w każdym pokoju. Te moje obawy nie są wyimaginowane. Pewna

nauczycielka opowiadała dzieciom w przedszkolu bajkę o „złym królu”. To starczyło, by wezwać ją do kierownika. Drżące nauczycielce oświadczone, że opowiadania o „złych królach” są „naśladowaniem teorii komunistycznych”.

W ogromne kłopoty popadła in nauczycielka za to, że wystawiła na estradzie szkolnej balet „Jezioro łabędzie” Czajkowskiego, a tańczące dzieci nazwane były „tancerzami rosyjskimi”.

Nauczycielom amerykańskim radzimy opowiadać bajki o gangsterze — dobrodziejcu, a na lekcjach śpiewu uczyć Horst-Wessell Lied.

Będą wówczas lojalnymi obywatelami...



Wczasy komórek nerwowych

Na ekranie widzimy słynne doświadczenie z psem. Zwierzę słyszy przeraźliwy dźwięk grzechotki. Początkowo zdradza silne podniecenie, potem jednak zapada w głęboki sen. Jest to reakcja polegająca na hamowaniu ośrodków nerwowych. Chronią się przed zgnębnym napięciem, komórki nerwowe kory mózgowej wyłączają się z pracy.

Film „W imię człowieka” mówi nam również o osiągnięciach uczonych radzieckich — następców Pawłowa. Film ten spełnia też, obok oświatowej, inną, nie mniej ważną rolę — rolę propagatora podstaw światopoglądu materialistycznego. Wykazuje on: że myśl jest funkcją mózgu, że zachowanie się zwierząt i człowieka znajduje całkowite wytłumaczenie w funkcjach wyższego układu nerwowego.

T. D.

Hen, gdzie piaski i moczary,
gdzie zielone zawsze bory,
gdzie zamieszkał lud
stary,

działny, bitny, rzeński, skory;
gdzie juncze kwitły czasy,
gdzie zwierzę błąkał się w
gestwinie —

— tak brzmi jedna z prastarych piosenek kurpiowskich „puszczaków”. Uchwycenie dawnych, dziś już zanikających form kultury ludowej tego niezmiennie charakterystycznego i ciekawego regionu, to zadanie uczestników obozu etnograficznego, na którym przebywają studenci uniwersyteckich ośrodków Historii Kultury Materialnej.

Gdzie zielonej puszczy lasy...

tam Zielonej Puszczy lasy,
a przez puszcę Narew
plynie...

Tadeusz Wróblewski

gólnie w 19 wieku, przeważnie zamienili się w uprawne pola i rozległe, błotniste łąki. Reszta tych lasów czernieją tu i owdzie na horyzoncie a tylko dalej, w okolicy Myszynia uchwyciły się większe pozostałości tzw. Myszynieckiej Puszczy. Las gęsto przetrkany starodrzewem, obfituje tam w sosny liczące ponad 200 lat. Zachowało się też kilka dawnych, leśnych barci. Leśne bartnictwo stanowiło jeszcze przed 150 laty obok łowiectwa i rybołówstwa, główną podstawę gospodarstwa życia większości Kurpiów.

Po obu stronach drogi krajowej płaski, łąki i pola usia-



Kurpianka ze wsi Kadzido

ne kępami niewielkich lasów. Mijamy wieś Dylewo. Drewniane na zrąb budowane chaty, stoją dawnym zwyczajem przeważnie szczytami do drogi. Owe szczyty, wielce ozdobne ciesielską robotą, zakończone tzw. sparami są zjawiskiem charakterystycznym dla kurpiowskiej wsi.

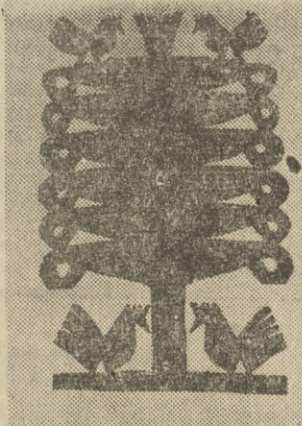
Zbliżamy się do wsi Kadzido, słynnej z pięknych wycinanek, rozslawionej także przez swój zespół śpiewaczo-taneczny, w którego wykonaniu „wesele kurpiowskie” nagrywał Film Polski. Trzeba tę wioskę widzieć w dniu odświętnym albo targowym. Barwne stroje Kurpierek i charakterystyczne sylwetki starszych Kurpiów stanowią osobiwy, niezapomniany obraz.

Wieś Wołkowe nosi jeszcze, choć mocno już zatarte, cechy dawnego, kurpiowskiego osadnictwa. Starsi mieszkańcy przekazują nam wiadomości dopełniające zastany przez nas obraz wsi. Do niedawna jeszcze chaty stały zwartym szeregiem, wszystkie szczytami do drogi, po obu jej stronach, w odległości około 4 m. Za chatami w głębi zagrody stały długim, zwartym ściśle szeregiem stodoły, zamkające dostęp do wioski od strony łąk i pól. Jedynie wejścia do osady znajdowały się

u wylotu wioskowej ulicy i były zamknięte kołowrotami. Puszcza wtedy podchodziła do wsi na odległość 200 m. Od strony wschodniej do wsi przylegały ogromne obszary łąk bałnistych, pełnych rozlewisk wodnych, rojących się od wodnego plectwa.

Ludność wioski przyjmuje nas od razu życzliwie. Żadnych trudności z zakwaterowaniem, żadnych przykrości, mimo że kręcimy się po zagrodach i po chatach, że pytamy o mnóstwo szczegółów, że szukamy po strychach i poddaszach dawnej sochy, czy drewnianej brony. Po kilku godzinach sto sunki sa już całkiem serdeczne. Byliśmy wielce wzruszeni, kiedy jeden z naszych informatorów „chodząca kronika” tej wsi, ob. Jan Gwiazda, przezwiskiem „Symka”, lat 85 przyszedł do nas na kwatere, w słotny dzień, błotnista droga, prawie 3 km. Okazało się, że dnia poprzedniego, opisując jednemu z badaczy narzedzie do orania zwane sochą i sposób posługiwania się nim, pominął na pewien szczegół, który przypomniał sobie dopiero później, już po odejściu badacza. Starysek zdecydował się mimo niepogody przejść dość uciążliwą drogę, by uzupełnić uciej informację.

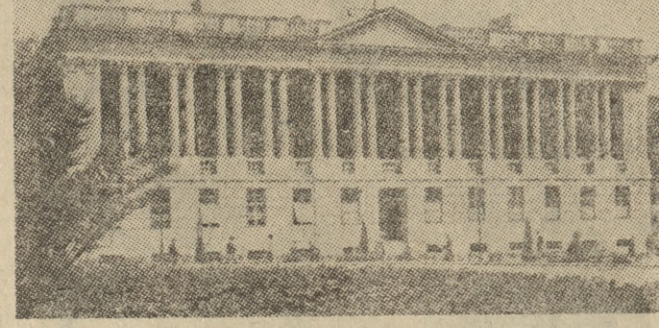
Dawni Kurpie „puszczacy” mało trudnili się uprawą ziemi. Tym się tłumaczy m. in. pewne rolnicze zacofanie, niełatwe tu do wyrównania. Problem właściwego zagospodarowania tych obszarów został jednak już postawiony w planach państwowych. Rozległe łąki nad Narwią i jej dopływami, przy pomocy właściwego zalesienia, melioracji i opasowania całej sieci wodnej, w niedalekiej już przyszłości staną się rejonem gospodarki hodowlanej na wielką skalę. Trzeba zatem spieszyć się, aby zdążyć zarejestrować to, co zaphowało się jeszcze z dawnych, specyficznych cech kulturowych tego regionu, zanim reszki tych historycznych śladów się zatra.



Stylizowana wycinanka kurpiowska

Fot.: T. Wróblewski

Pierwsza biblioteka publiczna w Poznaniu



Po starym zabytkowym Ratuszu — przyszła kolej na Bibliotekę Raczyńskich. Trwają już intensywne prace nad odbudową pięknego gmachu, tak nierozdzielnie związanego z sylwetką placu Wolności w Poznaniu. W 125 rocznicę powstania Biblioteki, drukujemy garść interesujących danych dotyczących tej poważnej placówki kulturalnej, która — dzięki pomocy władz — wraca obecnie do nowego życia w służbie ludu.

HENRYK HEINE, wielki postępowy poeta niemiecki, zdaje się być tym, któremu Poznań zawdzięcza powstanie i publiczną bibliotekę. Fundator gmachu, Edward Raczyński, w żadnym ze swych pism do rejencji poznańskiej w latach 1816—1818 o nabycie parceli pod budowę gmachu nie wspomina o zamiarze zorganizowania biblioteki. Społeczeństwo polskie dowiedziało się o tym dopiero od Heinego, po jego pobycie w Poznaniu, z dziennika podróży po Polsce — „Ueber Polen”. Heine w rozmowie z Raczyńskim mógł podsunąć ambitnemu wielmoży myśl przeznaczania budynku na bibliotekę, która by uwieczniła jego imię. Raczyński do tej myśli się zapalił i zamówił plany w Rzymie u nieznanego biografom architekta. Budowę gmachu według wschodniej fasady paryskiej po muzeum Luwru rozpoczęto w 1822 roku, a otwarcie biblioteki nastąpiło 1829 roku, a więc 125 lat temu.

Podstawą zbiorów był własny księgozbiór Raczyńskiego, liczący 17 tysięcy tomów, dalej biblioteki zwożone po kasacie klasztorów, zwłaszcza cystersów i benedyktynów, oraz bogaty zbiór rękopisów.

Spoza Wielkopolski najwięcej książek dostarczył bibliotecze z życia fundatora — Wrocław. Julian Ursyn Niemcewicz, autor „Śpiewów historycznych”, gdy wpadł w dług, bibliotekę swą wraz z cennymi rękopisami odstąpił Raczyńskiemu. Znalazły się tam m. in. rękopisy, dotyczące dzieł różnowierców w Polsce, a przede wszystkim Jednoty Leszczyńskiej, zbiór przywilejów miast wielkopolskich, diariusze sejmowe z końca XVI wieku, itp.

Już w pierwszej połowie XIX wieku rozpoczęły się stałe ingerencje władz niemieckich i w miarę wzrastającego ucisku narodowego w Wielkopolsce zaostrzała się kontrola władz pruskiej.

Prusacy nad księgozbiorem, Prusacy czuwać, aby nie przedostawały się do Biblioteki pisma emigracyjne z Paryża. Gdy pocztą wysłana, że w zeszytach emigracyjnej „Pamiętnika” znajdują się takie pozycje, jak: „Zaburzenia w Warszawie 29 czerwca 1831 roku”, „Krolowie i rewolucja”, „O rewolucji w Niemczech” — zeszytów tych Biblioteczce nie wydano. Przesłuchano w końcu pierwszego jej bibliotekarza Józefa Łukaszczyka, historyka, autora m. in. „Obrazu miasta Poznania historyczno-statystycznego”. Badano go, czy Biblioteka otrzymała „Księgi narodowe polskie” Adama Mickiewicza, po czym przeprowadzono rewizję w Bibliotece. Łukaszczyk posiadał egzemplarze zniszczone, usunął także pisma i książki dotyczące dawnych powstań polskich.

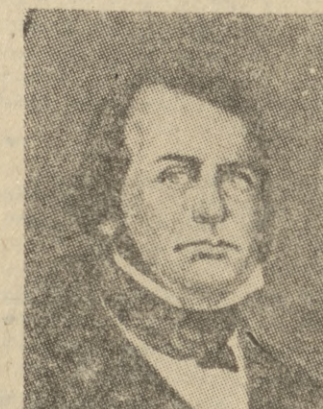
W trudności stawianych przez władze pruskie, instytucja ta spełniała swą misję kulturalną, naukową i oświatową, aż do pierwszej wojny światowej. Okres międzywojenny był dla Biblioteki niezwykle ciężki. Miasto przeżyło na swój etat Bibliotekę dopiero w 1928 roku, a subwencje rządowe i instytucji prywatnych nie wystarczały na utrzymanie instytucji. Po tym odebrano Bibliotece prawo pobierania egzemplarzy obywatelskiego, Pomimo to Polska Akademia Umiejętności i niektóre firmy wydawnicze nadsyłały dalej swe publikacje.

Burzący władze polskie nie oszczędziły gmachu, część budynku zajął Bank miasta Poznania i Biblioteka Towarzystwa Szkoły Ludowej. Właściwy gospodarz gmachu — Biblioteka Raczyńskich nie miała możliwości rozwoju.

Po zajęciu Poznania przez Niemców nastąpił okres przekształcania przez hitlerowców księgozbiórów w typ druzgoczną bibliotekę regionalną i historyczną, ze specjalnym uwzględnieniem historii krajów wschodniej Europy. U wejścia do gmachu biblioteki znalazł się napis: „Nur für Deutsche” (Tylko dla Niemców). Równocześnie zaczęto usuwać i wywozić do Berlina dzieła polskie. (Np. zbiory kartograficzne wywieziono do Grossgraben pod Drezno). Dalszemu wywożeniu Biblioteki do Niemiec zapobiegła szczęśliwie ofensywa Armii Radzieckiej.

Gdy zaczęło się oblężenie Poznania, wojska hitlerowskie dokonały barbarzyńskiego dzieła zniszczenia Biblioteki. Wybuch granatów pancernych i bomb zapalających, nagromadzonych przez zainstalowaną w gmachu jednostkę niemiecką, spowodował zupełne jego zniszczenie. Spłonęło wtedy 180 tys. tomów, wszystkie katalogi i inwentarze oraz całe urządzenie. M. in. pastwa pożaru padły rękopisy i książki dotyczące powstania 1848 roku w Wielkopolsce. Ocalała więc jedynie ta część inwentarza, którą wywieziono uprzednio do Odrzyckiej.

Do pełnej pomocy władz Polskiej Ludowej, rozpoczęto niezwłocznie po wyzwoleniu Poznania gromadzenie ocalałych i rozproszonych zbiorów. Część ich wróciła z Niemiec. W 1945 roku nastąpiło połączenie dawnej Bi-



Pierwszy bibliotekarz Józef Łukaszczyk

blioteki Raczyńskich i Publicznej Biblioteki Miejskiej w jedną instytucję pod nazwą „Biblioteka Miejska im. Raczyńskich”.

Odbudowywany obecnie gmach Biblioteki Raczyńskich ujrzy znowu swe dawne rękopisy i książki, które ocalały z burzy dziejowej.

HENRYK BARAŃSKI

Stare i nowe

Przed wojną — nieznane

Żłobki? Przedszkola? Dziecińce wiejskie? Domy Kultury? Domy Dziecka? — takie instytucje były nieznane, lub prawie nieznane w Polsce przedwojennej. Ich bujny rozwój rozpoczął się dopiero w Polsce Ludowej, kiedy władze objęli robotnicy i chłopcy. Oto cyfry. W Polsce przedwrze-



niowej czynne były ogółem zaledwie 44 żłobki — dziś mamy w samej Wielkopolsce około 180 żłobków sezonowych na wsi! Z końcem 1953 roku istniało na terenie województwa poznańskiego: 501 przedszkoli, w tym 290 wiejskich, 7 Domów Kultury, 9 młodzieżowych świetlic dworcowych, a przeszło 5.000 dzieci korzystało z dziecińców wiejskich.

100 tys. głośników

Przed wojną nie każdy mógł sobie pozwolić na zakup radia, a już w najmniejszym stopniu wieś — mało i średniorolni chłopcy. Dziś władza ludowa pragnie, aby w każdym domu, zarówno w mieście jak i w wsi, rozległ się głos speakera i rozbrzmiewały dźwięki muzyki, umilając czas wolny od zajęć i kształcąc. W tym celu buduje się i rozbudowuje radiowęzły lokalne, zwiększa sieć instalacji głośnikowych, radiofonizuje coraz to większą ilość gromad.



Do roku 1945 nie notowano w Wielkopolsce ani jednej radiofonizowanej gromady. W okresie od 1945 roku do końca 1953 roku radiofonizowano w Wielkopolsce: 76 miast, 880 gromad (tj. 1/4 ogółu), 135 spółdzielni produkcyjnych i 224 PGR-y zakładając łącznie w całym województwie 94.168 głośników.

Zgodnie z planem, z końcem bieżącego roku ilość głośników radiowych w województwie wzrośnie do 103.568.

Nowe szkoły

Z każdym rokiem państwo nasze przeznaczają coraz to większe sumy na oświatę i wychowanie młodzieży. W rezultacie, podobnie jak w całym kraju tak i w Wielkopolsce, z każdym rokiem zmniejsza się liczba szkół o jednym nauczycielu na rzecz szkół 7 klasowych.

W roku 1939 zarejestrowano na terenie Wielkopolski: 288 szkół 7-klasowych. W ro-



ku 1946 jest ich już 489 w 3 lata później — 625 a w ostatnim roku planu 6-letniego będzie — 830

Budujemy nowe, jasne szkoły w których dzieci robotnicze i chłopskie zdobywają wiedzę by stać się pełnowartościowymi członkami naszego społeczeństwa. W samym tylko powiecie kaliskim wybudowano w okresie 9-letniego Planu Ludowej 41 budynków szkolnych.

Na Biegunie Północnym pracują...

Z miejsc odległych o 3 tysiące kilometrów na północ, do Moskwy przywędrowały lotniczą pocztą serdeczne pozdrowienia od załogi stacji „Biegun Północny”, założonej na pływającej krze.

Od kilku bowiem miesięcy w pobliżu bieguna dryfują na lodach niezmiernie Arktyki — dwie radzieckie ekspedycje naukowe, kontynuujące dzieło badawcze pokolenia nieustraszonych ludzi Północy.

Po raz pierwszy w dziejach Arktyki biegun został „zamieszkały” w 1937 roku przez specjalnie zorganizowaną radziecką polarną ekspedycję z Papaninem, Szaryszewem, Krenkiem i Fiedorowem, która w ciągu kilkunastu miesięcy pobytu na dryfujących lodach zebrała bogaty materiał z zakresu meteorologii, hydrografii, magnetyzmu morskiego, aerologii i innych dziedzin nauki. W roku 1950 Związek Radziecki zorganizował podobną wyprawę. W roku bieżącym w rejon bieguna dotarły jednocześnie dwie wyprawy radzieckie, zakładając stacje „Biegun Północny-3” i „Biegun Północny-4”.

Obozy stacji na pływających krach zaopatrzone zostały w instalacje elektryczną i telefoniczną, łaźnie, kinoaparaty, biblioteczki. Uczestnicy obu stacji „Biegun Północny” prowadzą badania oceanograficzne (próbki gruntu dna morskiego, pomiary głębokości, temperatury wody), klimatyczne i inne.

„Wiosną w naszym rejonie mrozy siadają 15—20 stopni, często nadciągają mgły — pisze w korespondencji do Moskwy naczelnik stacji „Biegun Północny-3” A. Tresznikow. — W okresie polarnego lata zrobiło się nieco cieplej. Za to na krach zaczęło się tkanie śnieżnej pokrywy, potawiały się całe jeziora wody. Trzeba przekopywać ciągle kanały, przebić w lodzie rowki i spuszczać przez nie wodę do oceanu.

Badacze czeka jeszcze przeżycie w centrum Arktyki długiej polarnej nocy.

Julia Seweryna radzi

Podzielić się z Wami, drogie Czytelniczki, zmartwieniem, które spotyka dość często moja przyjaciółka — Elżbieta. Jest to zresztą sprawa, dotycząca już coraz mniejszej grupy ludzi, ale niemniej istotna.

Elżbieta mieszka w 5-pokojowym mieszkaniu. Dwa pokoje zajmuje ona z rodziną, a trzy pozostałe — druga rodzina, licząca 5 osób. Kuchnia i łazienka są wspólne. I to właśnie jest powodem, że między obydwoma rodzinami wybuchają od czasu do czasu scysy.

Moja przyjaciółka twierdzi, że zużywa mało gazu, a płaci bardzo dużo. O godz. 21 nie może spać, gdyż „tamci” chodzą jeszcze po korytarzu głośno śpiewając. Rano lokator z drugiej rodziny goi się i myje przesyłając gołymi nogami do łazienki, a pozostali lokatorzy co chwile pukają w drzwi łazienki i ślą pod jego adresem nie bardzo przyjemne westchnienia. A już najgorsza sprawa jest z piecem w kuchni. Elżbieta głośno rozpała ogień, ma zwyczaj całą kotłownię zastawia swoimi garnkami. Sa-

tym czasie nawet wody podgrzać. Elżbieta nie ustąpi. Ona zrobiła ogień, więc kotłownia w tym czasie do niej należy...

Elżbieta wspomina o dwóch istotnych sprawach, które jednak pozwoliliby jej na spokojne ułożenie warunków we wspólnym mieszkaniu. Pierwsza z nich, to umiejętność kulturalnego współżycia, umiejętność prostą, wymagającą tylko trochę taktu i dobrej woli.

Czy Elżbieta nie ugotowałaby obiadu, gdyby sąsiadka zagrzała sobie odrobinę wody w garnku? Czy nie można grzecznie poprosić lokatora o skrócenie bytu w łazience, gdy innym także się spiesz? Można, i to na pewno z dobrym skutkiem. Tylko „bez nerw”, bez niesłusznych posądzeń o złośliwość!

Druga sprawa: już coraz mniej jest wspólnej mieszkań, to zło konieczne (skutki zniszczeń wojennych) likwiduje się w coraz szybszym tempie. Nie ma dzielnicy w naszym mieście, w której by nie powstały i nie powstawały w dalszym

ciągu — nowe domy. Bez przerwy buduje się nowe, nowoczesne, urzędnicze bloki mieszkalne dla ludzi pracy. Każdego roku setki rodzin otrzymują klucze do nowych lub całkowicie wyremontowanych mieszkań. A mo-że właśnie w jednym z tych słonecznych domów zamieszka wkrótce Elżbieta? — Tylko trochę cierpliwości — i Kraków nie był od razu budowany!

Czy jesteście tego samego zdania, drogie Czytelniczki, co ja? Na piszcie, przecież niejedną z Was ma również podobne utarczki ze współlokatorami...

A teraz podaję Wam obiecany przepis... najtańszej galaretki. Jabłko już dojrzało i są coraz tańsze. Aby jednak wykorzystać je w pełni, można same jabłka „zawekować” w szklach, a ze skórek i środków zrobić smaczniejszą galaretkę. Oto przepis:

Skórki od jabłek (kwaśnych) i środki z pestkami włożyć do garnka i zalać wodą aby się zanurzyły. Gotować aż do miękkości, następnie przecedzić i do płynu dosypać cu-

kru tyle, ile jest soku. Gotować tak długo, aż płyn zgęstnieje na galaretkę. Potem wlać do całkowicie wysuszonych słoików i po wystudzeniu zamknąć celofanem.

Prawda, że tania galaretka?

Rozpoczął się już okres, w którym podajemy na obiad grzyby, a także zaprawiamy je i suszymy. Pamiętajcie jednak, drogie Czytelniczki, że są także grzyby trujące, które bardzo mało różnią się od jadalnych. Jeżeli więc któraś z Was nie odróżnia dostatecznie grzybów jadalnych od trujących, niech wrzuci do garnka z grzybami trochę cebuli. Gdy kolor cebuli zmieni się — znaczy to, że grzyby są niejadalne (może być ich tylko trochę).

P. Krystyna z Poznania pyta, czy bezy piecze się w piekarniku gorącym, czy letnim. Piekarnik musi być dobrze nagrany, ale nie za gorący. Najlepiej piec wtedy, gdy ogień pod kotłownią wygasa, a piekarnik jest jeszcze nagrany.

Julia Seweryna



— To Adenauer. Bez przerwy przegrywa, a mimo to stawia ciągle na „Armię Europejskiej Wspólnoty”... (Eulenspiegel)

• Samosąd •

Do kierownika Zakładów Ceramicznych X zbliżył się skulony interesant.

— Obywatelu, kierowniku, czy mogę prosić o chwilę uwagi?

— O to zawsze można prosić. O coż chodzi?

— Kilka miesięcy temu wasi robotnicy naprawiali dach. — Zgadza się. Robotnicy na szczytach zakładów naprawiali dach. Cóż z tego.

— Na prawili dach i przy sposobności potargali antenę.

— Którzy robotnicy i jaką antenę?

Interesant przysunął krzesło, aby na nim usiąść.

— Proszę jeszcze nie siadać — kaszlnął kierownik. — Zobaczymy, czy ta sprawa będzie nas obchodzić, czy nie. — I usta kierownika kłapnęły po nagłym ziewnięciu.

Interesant odsunął krzesło. — Jak wiecie obywatelu, a jeśli tego nie wiecie, to się dowiedziecie, mieszkam na terenie posesji sąsiadującej z zabudowaniami waszych zakładów... Jeszcze w grudniu wasi robotnicy naprawiali dach.

— Owszem, naprawiali, już to potwierdziłem. Cóż dalej?

— Naprawiali dach i przy sposobności, jak już na wstępie zaznaczyłem, zniszczyli antenę.

— Więc coż z tego, że zniszczyli?

— Ta antena była moją własnością.

— Kiedy się to stało?

— W grudniu.

— A jaki teraz miesiąc mamy?

— Czerwiec.

Kierownik wciągnął w płucach kilka litrów powietrza więcej, niż pozwalała mu objętość kamizelki i wypuścił je. — Dajcie pokój, przecież ta sprawa już należy do historii... Po sześciu miesiącach przychodźcie do mnie? Czy nie szkoda wam nóg na takie błahostki?

— To nie błaha sprawa. Mój odbiornik milczy.

— Załóżcie nową antenę i będzie grał. — Kierownik przełożył papierkę z jednej strony biurka na drugą i rozłożył się. — Nie rozumiem, nie rozumiem, jak można rabować komuś czas z powodu takiej błahostki... Gdyby wam byli wywiercili dziurę w suficie albo wyrwali ramę okienną, to bym rozumiał, ale... antena? kawałek drutu?... Złutujcie się!... W ogólnej skali wydarzeń to... detal... Bedka, jak powiadają.

Interesant przysunął krzesło i odsunął je.

— Całe nasze życie składa się z takich detali... Od sześciu miesięcy proszę was o na prawienie szkody i wasi podwładni zbywają mnie... Czy to nie jest ważne?

— Ale to są drobne wycinki życia, rozumiecie... jakby to powiedzieć to nie są sprawy frontalne... Jeśli będziemy tracić czas na załatwianie takich głupstw, to nie będziemy mieli czasu na załatwianie spraw poważnych... Taki drobniaczek, takie nic, pomyślcie.

— Ładne nic... za cenę takiego kawałka drutu mógłbym sobie sprawić parę skarpetek.

Dzwonek zaterkotał. Kierownik pochwylił słuchawkę. Jego twarz zabarwiły wszystkie kolory tęczy. — To niemożliwe! — wybuchnął. — Słutki mi kryształowy flakon... Ach — zagrzmiał — ja temu brzdącowi pokażę... Taki wytworny kryształ... można się było na jego szlifach pokaleczyć!... Józefiński kryształ!... Pamiątka po premii!

Interesant pozieleciał. — Przepraszam!... obywatelu, jeśli się nie mylę, to synek słutki panu kryształ... Czyż ten kawałek ołowiowego szkła, to nie taka sama błahostka, co i moja antena? Przecież w ogólnej skali wydarzeń... I poszkodowany omal się reszłą słów nie zadławił.

Kierownik położył słuchawkę na widelkach. — To jest błahostka dla was, nie dla mnie... W ogólnej skali wydarzeń osoba głównego kierownika zakładów, które rzucają na rynek wewnętrzny... I kierownik ukąsił się w język.

Interesant wyszedł na korytarz... Czuli się jak człowiek, któremu ktoś w ramach miesiąca czystości, w biały dzień, przy najgłośniejszej ulicy wy lewa na głowę spore wiadro pompy.

— Kierownik miał słuszość — pomyślał. — Przecież ten kryształ jest własnością tego samoluba, nie... moja... No, tak, ale czyją własnością była moja antena?

I poszkodowany korzystając z nieobecności szatniarza, odszukał w garderobie palto kierownika i wypalił w nim dziurę, w której mieściłby się nie-kryształowy flakon, ale cały kryształowy szaflik, w razie gdyby takie szafliki już rozpoczęło produkować.

ZYGMUNT FIJAS

Z tomu satyr i humorek „Portret z sera”.

Eräs ki

O czytaniu

Pochyliłem głowę nad powieści kartką, skąd nuda spozierała twarzą ku mnie martwą. Nim stronicy minęła zaledwie połowa — zasnąłem. O, potęgo słowa!

O pisaniu

Ogarneło natchnienie ksiąg pewnego twórcę, więc napisał powieść: „Nowe w Starej Wólce”. Dotąd mnie jednak wątpliwość przenika: dla czytelnika, czy dla... „Czytelnika”?

W. TYBLEWSKI

Anteka „Pod lipą”

(Niektóre apteki sprzedają paczkowane zioła lecznicze, jak np.: „Pektosan” i inne — grubo po terminie, który oznaczono na opakowaniu, jako ostateczny dla skutecznego działania leku).

Przechodniu, wstap w me progi, a odpocznij sobie. Skuteczność „Pektosanu”, przysięgam ja tobie, tutaj cię nie osiągnie. Czekaj każdy odczyta co ongiś ziółkiem mądrym — zwykła wždy to lipa...

Według niejakiego Jana Kochanowskiego J. BINIEK

KAKOLE

Punkt skupu w Tuchorzy pow. Wolsztyn zamiast o godz. 6 rano, rozpoczyna przyjmowanie zboża często dopiero o — 9, narażając chłopów na niepotrzebną stratę czasu.



— Zasnął, czy co?!
— Nie, jeszcze się nie obudził...



Mieszkańcy gminy Staw, w powiecie kaliskim narzekają na zbyt częste i zbyt długie zebrań w okresie żniwnym.

— Żeby już skończył nareszcie... Tyle roboty w polu!



Nie wszystkie GS-y dbają o do stateczne zaopatrzenie ludności wsi w artykuły pierwszej potrzeby.

— Musimy poczekać, bo za brakło mu papierosów, a do miasteczka 18 km!

Kulak Sylwester Hałas (gmina Buk), aby uchylić się od obowiązku pomocy sąsiedzkiej — świadomie utrzymuje swoje maszyny rolnicze w stanie nie nadającym się do użytku.



— Rozmontowałem żdziebko. Inaczej musiałbym pomagać sąsiadom...

ŚNIEDZWIEDŹ I LEW

(wg W. Bachnowa i J. Kostiukowskiego)

Miś, zaspawszy haniebnie, nie poszedł do pracy, Co mu się przytrafiło już nie pierwszy raz... Do łazika przysłali Bobra: — Co to znaczy?! Lew cię wzywa! Miś zadziął: — Bodaj piorun trząst...

Nieprzemyślny ze strachu zwłóknął się z legowiska, Do leśnego urzędu podreptał wśród drzew, Wtem przystanął: marszcząc brew, Groźny siedział Lew I uważnie spoglądał nań z bliska.

Niedźwiedź skłonił się nisko, Lew kazał Misiowi Siąść obok (na dowód, że jest wrogiem rang) Po czym miękko, serdecznie, niemal ikluwie powie: — Czemu swe dobre imię wystawiasz na szwank?



Słyszając taki początek, Niedźwiedź gładząc sadło, W mig pomyślał, że jeszcze nie wszystko przepadło. A że nie nosił do pozłoty głowy, Tymi odezwie się słowy: — Przecież ja jestem ewok od urodzenia, Chyba nie ma ode mnie ciemniejszego zwierza, A kto z was się zatroszczył o me wykształcenie? Kto mój wąski horyzont myślowy rozszerzał? Sam jeden żyję w lesie od najmłodszych lat, Lecz w pojedynkę niczego nie zmienię, Deskami zabity jest dla mnie świat, Sę nawet brudną łapę, choć to wbrew higienie...

Tu Lew oświecać zaczął Niedźwiedzia: Różnych mędrców mu słowa cytował, Potem bajek mu cykl opowiedział, Krasickiego, Ezopa, Kryłowa... Lew wpadł jakby w ekstazę, Drząc na ciele całym, Coraz mędrze maksymy prawil jak w natchnieniu, A Miś dumał: — Mów dalej, ja lubię morały, Bo morały to przecież, nie wypowiedzenie!

I gdy tak elokwencji Lew rozpuszczał welon, Niedźwiedź oczy przymyka, Lwa już ledwo widzi, Po czym błogo ziewnąwszy, poszedł rozanielon Na swe leże, by przespąć Tym razem... już tydzień.

Morał? Dzieje tej bajki wykazały, że czasami szkodliwe Bywają morały!

ADAM OCHOCKI

Klemens w akcji

KLEMENS może o sobie powiedzieć, że jest doskonałym organizatorem i, niechby kto zaprzeczył, ruchliwym społecznikiem. Gdzie tylko powstaje załóżek jakiejś akcji społecznej, Klemens pierwszy przystępuje do rozruszania jej. Dwoi się i troi, chodzi po biurowych pokojach...

— Koleżanki i koledzy. Nie możemy pozostawać na uboju. Do dzieła, zakasać rękawy! Ja już wszystko zorganizuję. Nie odrywajcie się od biurka. Ja wszystko zapnę na ostatni guzik.

W środę Klemensio wychodząc z biura rady zakładowej, powiedział jeszcze w drzwiach: — Zrobione, tylko dajcie mi ciężarówkę. Wszyscy pojedą na żniwa. Nikogo z naszej instytucji nie zabraknie. Moja głowa. Pomożemy naszej wsi w żniwach, że proszę patrzeć.

Spółcznik i organizator zaczął teraz działać. Ruszał się, jak w ukropie. Ani chwili nie siedział przy biurku. Rozmowy telefoniczne mnożyły się w nieskończoność.

— Halo, czy to „Głos”? Wyjeżdżamy na żniwa, przyslijcie nam redaktora, albo nawet

dwóch i fotoreportera. Tak, ju tro, do Bomblina. Że co? Tak jest, ja jestem kierownikiem akcji.

Klemens działał całą parą. Dzwonił do radia, do filmu, do wydziałów rolnych tu i tam.

Nazajutrz pracownicy instytucji pośpiesznie kończyli swe zajęcia. Klemens tylko zapinał na ostatni guzik ostatnie przygotowania. Właśnie też zajęły dwie ciężarówki. Konferował z kierowcami.

— Nie wiem, którym samochodem pojedę, więc tu macie „marszrutę”. W Bomblinie czekaj.

Potem wyekspediował pierwszy wóz, pełen kolegów, pokreślił się, pokreślił, wyekspediował drugi...

W Bomblinie koledzy pytali o Klemensa.

— Myśmy sądzili, że jedzie z wami.

— A my, że z wami.

Działacz i społecznik Klemens nie był na żniwach. Ale już przygotowuje nową akcję: pomoc dla wsi w czasie wykopków...

T. H. N.



— To pracownicy przedsięwzięcia budowlanego...

...Gdzie Pelasia????

— Rany Julek! nakryli nas!
— Mylisz się: ...odkryli nas!

— Widzisz draniu! Teraz nie będziesz mi zjadał owsa spod widel!